

GDZIE TO



GDZIE

ZAGRAŁY TRĄBKI MYŚLIWSKIE?..

ORGAN TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, OLGIERD ŚWIDA WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI, JAN BOROWSKI

Roczna składka członkowska w Tow. Łowieckiem woj. Wil. wynosi 17 zł. t.j. mniej niż cena pół setki ładunków...

W O B R O N I E K O N I A

W numerze październikowym miesięcznika „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie“ ukazał się feljeton pana M. K. Pawlikowskiego p.t. „O koniach, o sporcie, o łowiectwie najmniej“, w którym szano wny autor wyraża swe zapatrywania na sport hippiczny i konia wogóle. Ponieważ z poglądami pana Pawlikowskiego niezupełnie się zgadzam pozwolę sobie spróbować zważyć Jego argumenty i wystąpić w obronę konia, który chociaż według wyrażenia pana Pawlikowskiego służy tylko „do przeciągania ciężarów“, to jednak, moim zdaniem, zasługuje na więcej uznania i sentymentu, niż go obdarza szanowny autor wspomnianego feljetonu.

Nie będę starał się obniżyć uroku polowań i naszych kresowych lasów, od których niestety rewolucja rosyjska daleko mnie odrzuciła, nie będę nawet wogóle na ten temat głosu zabierał, aby nie sprofanować tego, co dla każdego, w czyich żyłach płynie krew kresowa i kto ma w sobie żyłkę łowiecką jest drogie i miłe, a co tak pięknie w swych feljetonach opisuje pan Pawlikowski.

Ta sama jednak krew kresowa nakaże mi wystąpić w obronę konia, którego pan Pawlikowski nazywa zwierzęciem „mało inteligentnym, a w porównaniu z przeciętnym psem stworzeniem poprostu głupim“.

Zgadza się z tem, że pies, a zwłaszcza mądry pies, przewyższa konia inteligencją, nie mogę się jednak zgodzić z tem, że koń jest tej inteligencji pozbawiony. Przeciwnie, uważam, że ma ją rozwiniętą bardzo silnie i po psie bezsprzecznie jest najmądrzejszym naszym zwierzęciem domowym.

Czy Pan Pawlikowski nie jechał nigdy saniami w zadymkę śnieżną, kiedy żadną siłą drogi odnaleźć nie można i czy nigdy koń go z opresji nie wybawił, sam bez trudu odnajdując drogę do domu? — Jest to najprostszy i najogólniej znany przykład końskiej inteligencji, świadczący jednak o tem, że w niektórych wypadkach koń okazuje więcej sprytu życiowego nawet od człowieka, który uchodził przecież za pana stworzenia.

Albo czyż nie świadczy o rozumie koni fakt opisywany w Trylogii Sien-

kiewicza, jak konie czynnie pomagały w bitwach swoim panom? Czy inflancka kobyła pana Longinusa Podbięty nie dowiodła czynami swemi „czegoś więcej niż zwykłego instynktu zwierzęcego“?

Mógłbym spotkać się z zarzutem, że tak pan Podbięty, jak i jego kobyła istniały tylko w wyobraźni Sienkiewicza. Na to zgoda! Przytoczę więc fakt inny, z niedawnej przeszłości pochodzący, bo z wojny europejskiej, fakt ogólny.



nie znany, stwierdzony i nie podpadający pod nazwę fantazji autorskiej, a potwierdzający możliwość istnienia „inflanckich kobył“.

Wszak wiadomą jest rzeczą, że konie kozackie w szarżach walczyły zębami i kopytami równie zaciekle, jak ich panowie bardziej ludzką bronią. Czyż nie dowodzi inteligencji zwierzęcia fakt, że zwierzę to pomaga swemu właścicielowi w walce z jego przeciwnikami?

Prócz tego konie kozackie dawały i inne dowody swej zmyślności. Sam widziałem takiego wierzchowca, który na powiedzenie: „Waska łożys“ — kładł się i leżał bez ruchu.

Zdaniem moim niczem się to nie różni od powszechnie znanej sztuczki psiej, polegającej na tem, że pies usłyszawszy zwrócone do siebie: „zdechł

pies“ przewracał się i udawał nieżywego. W tym względzie i koń równie mu wykazał zdolności.

Przechodząc wreszcie do konia, jako narzędzie sportu i źródła przyjemności chyba niebardzo będę różnił się zdaniem od większości Polaków, a zwłaszcza Polaków kresowych, którzy zwykle od dziecka już zżyli się z koniem i pokochali to szlachetne zwierzę, słynące ze swej jazdy, — gdy przyjemności konnej jazdy nie postawię niżej

Reasumując wszystko, com dotąd napisał twierdząc, że i koniowi niepoślednie miejsce wśród przyjaciół człowieka się należy. Koń nie dowiódł nigdy swej głupoty, przeciwnie, nieraz wykazywał ludzką prawie inteligencję.

A czy można go jako źródło przyjemności postawić obok strzelby i psa myśliwskiego?

Sądzę, że nie potrzebuję na to odpowiadać, bo każdy chyba, kto bodaj raz w życiu siedział na koniu, odpowie to samo, co jabym powiedział.

Eljasz Cichodziejewicki.

Redakcja dodatku łowieckiego zamieszcza artykuł powyższy przede wszystkim przez lojalność, by nie spotkać się ze strony Sz. Czytelników z zarzutem, że pozwoliliśmy na „spostponowanie“ konia a nie daliśmy nikomu dojść do głosu w jego obronę. Sportowe, go-podarcze i wreszcie — kawaleryjskie znaczenie konia jest od wielu setek lat tak dalece ugruntowane zarówno w Polsce, jak i na całej kuli ziemskiej, — że, jeżeli o sport koński chodzi, nikt chyba feljetonu p.t. — „O koniach i t.d.“ inaczej niż za żart nie przeczytał. To też artykułem powyższym zamysłamy stanowczo wszelką dalszą polemikę o znaczeniu konia i o sporcie końskim, by snadnie nasz skromny dodatek łowiecki w jakiś „dodatek koński“ się nie zamienił.

Inaczej jednak rzecz się przedstawia, jeżeli będziemy mówili o inteligencji zwierząt w ogólności a psa i konia w szczególności. Ta kwestja bezwzględnie interesuje światło wieki i w kwestji tej pozwolę sobie odpowiedzieć sz. Oponentowi. Otóż — gdy mówimy o inteligencji zwierząt, musimy ściśle rozróżniać trzy czynniki — zgoła odrębne a często i niewspółmierne: instynkt, wynik tresury i inteligencję wrodzoną. Instynkt jest jedną z cech odróżniających wybitnie psychikę ludzką od „psychiki“ zwierzęcia. Instynkt zastępuje zwierzęciu, rzecz można, inteligencję ludzką i można śmiało powiedzieć, że im dany gatunek zwierzęcy jest niższy biologicznie, im bardziej jest oddalony od inteligencji ludzkiej, tem instynkt występuje silniej i wyraźniej. Z zoologii wiemy, że instynkt posiadają owady, ryby, ba nawet mięczaki; trudno jednak mówić o inteligencji u tych gatunków. Przykład, przytoczony przez Sz. Autora, przykład znany z opisów i opowieści: o orjentowaniu się konia w zadymce śnieżnej, jest właśnie typowym przykładem instynktu. Bo jakaż siła, jakie zmysły, poza instynktem, mogą prowadzić konia w ciemnościach i zawierusze śnieżnej? Nie powonienie, bo jak dobrze wiemy, powonienie u konia jest nader słabe. Nie wzrok, bo ten zmysł jest u konia jeszcze słabszy (exemplum: niespodziane susy w bok na widok niewinnego słupa lub kamienia przydrożnego), Zresztą co pomogłyby najlepsze —

wzrok i powonienie w mętym i mrocznym chaosie wirującego i oślepiającego śniegu?... Niestety, problem instynktu nie został dotąd dostatecznie wyświetlony przez naukę — nie mniej jednak instynkt u zwierząt, zarówno dzikich, jak i swojskich istnieje bezsprzecznie. — Drugim czynnikiem t.zw. inteligencji zwierzęcej jest — **tresura**. Gdy o tresurze mówimy, musimy jednakowo zważyć dwa elementy, składające się na jej wyniki: — Zdolności zwierzęcia tresowanego i w równej może większej jeszcze mierze — zdolność tresera. W czasach, obecnie dość odległych, oglądano i podziwiano pchły tresowane. Słynny w Rosji przed wojną kłown Durów demonstrował nadzwyczajne wprost rezultaty tresury najprzeróżniejszych zwierząt, w ich liczbie — zajęcy, królików i myszy. Przykład który podał S. Autor owego „Waska lożyś“ — czyż nie jest to przykład



P. Marja Nitowska

znana sportsmenka wileńska uległa nieszcześliwemu wypadkowi złamania obojczyka podczas biegu „myśliwskiego“ w dn. Św. Huberta r. b.

tresury? Jeżeli można nauczyć mysz spacerować po karku i ogonie odwiecznego jej wroga — kota, to czy nie łatwiej jest nauczyć konia kłaść się na rozkaz? Nasi dziadowie i ojcowie oglądali pchły chodzące w zaprzęgu. Nikt jednak nie widział dotąd zapewne w cyrku konia chodzącego w zaprzęgu z wilkiem... Sądzę jednak, że przy cierpliwej tresurze i to możnaby było osiągnąć. Im zwierzę ma więcej wrodzonej inteligencji, tem tresura jest łatwiejsza. To też treserzy i właściciele wyżółdło dobrze wiedzą, iż racjonalna tresura wyżyła sprowadza się właściwie tylko do nauki posłuszeństwa (karności), bowiem resztę tresury wypełnia wrodzona zmyślność psa.

Poza instynktem i tresurą istnieje właśnie owa — **wrodzona inteligencja** zwierzęcia. Nie mówmy o wyżłach, pudlach itp. wyjątkowo mądrych a przytem zazwyczaj wytresowanych zwierzętach, lecz zwróćmy uwagę na zwykłego kundla podwózkowego lub na rozwydrzonego pokojowego pieska. Czy zakopywanie kości lub kromki chleba w wielkim sekrecie przed innemi zwierzętami i ludźmi nie jest dowodem wrodzonej inteligencji? Albo — gdy jamnik pokojowy, karcony za wylegiwanie się na poduszkach, zasłyszawszy kroki pana w sąsiednim pokoju, zeskakuje z łóżka i skromnie kładzie się na dywaniku udając śpiącego i tylko ciepłe jeszcze wgniecenie w poduszce zdradza jego psotę?... Przykładach takich, autentycznych i sprawdzonych możnaby snuć tysiące. To nie wytresowane (i zapewne wymęczone) „Waska lożyś“ konia kozackiego...

Pisząc mój feljton o koniu nie darmo powiedziałem, że koń jest dla Polaka „tabu“. Przeczuwałem że moja żartobliwa „dysertacja“ rozpęta małą burzę... Zostawiając jednak żart na stronie i traktując kwestję poważnie, należy, gdy mowa o inteligencji zwierząt, postarać się zapomnieć choć na chwilę o — sentymencie. Wszyscy mamy sentyment do konia, lecz sentymentu tego nie należy rozciągać na ((nieistniejącą)) inteligencję tego zwierzęcia. Można lubić, ba nawet kochać konia za jego piękne kształty lub „chody“ (N.B. bardzo ładny wyraz ten „chody“...), lecz trzeba zarazem zdobyć się na taką bezstronność, na jaką zdobył się jeden z moich znajomych, który, będąc maltretowany przez narzeczoną, zwierzył się z wybuchem żalu przyjacielowi: „jest głupia i brzydka, ale ją kocham!“. Cóżby dopiero ten pan powiedział, gdyby narzeczoną jego była głupia i — piękna?... Wreszcie na marginesie legendy o inteligencji koni — jeden przykład. Mielśmy przed wojną osła, który razem z końmi chodził po pastwisku. O ile złapanie konia nie przedstawiało większych trudności, o tyle złapanie owego osła było całkiem przedsięwzięciem.

O PODNIESIENIU ŁOWIECTWA NA WILEŃSZCZYZNIE

Pracą niniejszą rozpoczynamy cykl artykułów myśliwsko - hodowlanych pióra znakomitego myśliwego i cenionego autora prac łowieckich p. Jana Borowskiego z Łukawca. Przy sposobności spieszymy podzielić się z Czytelnikami dodatku łow. radosną nowiną, że p. Borowski wstąpił do naszego komitetu redakcyjnego i obiecał stale zasilać nasz dodatek współpracą (Przyp. Red.)

Smutny stan łowiectwa na Wileńszczyźnie ma swe źródło przede wszystkim w tem, że nie mamy tu warunków odpowiednich dla rozmnożenia drobnej zwierzyny, która stanowi „matkę“ obfitości pokoiów myśliwskich na Zachodzie. Zbyt surowy i wilgotny klimat, w wielu wypadkach nieprzepuszczalny pod glebie, głębokie śniegi — ograniczają rozmnożenie zajęcy i kuropatwy. Bażant wogóle wymaga wielkiej pieczy, a tem bardziej trudno się hoduje w naszym klimacie przy obfitości drapieżników. Zwierzę grube, który ongiś tu obfitował i stworzył tradycję wielkich łowów kretowych, znikł wraz z uszczupleniem lasów i wzrostem zaludnienia. Czyż jednak wobec tego mamy postawić krzyż nad naszym zwierzostanem i nie będziemy robili wysiłków dla postawienia Wileńszczyzny w rzędzie krajów kulturalnych i pod względem łowieckim?

Jeśli wyliczyłem ujemne strony naszego terenu i klimatu, to należy również wspomnieć i o dodatnich i specyficznych warunkach naszego kraju, które zachęcają do **hodowli**. Mamy więc jeszcze sporo lasów nie posadzonych w linie lub podkrzesanych, jak to widzimy nieraz na Zachodzie, lecz zwartych, o różnorodnej roślinności, mieszanym drzewostanie, obfitującym w drzewa liściaste, dobrze podszytych owocodajnymi krzewami i bylinami. Mogą one dostarczyć dobrego schronienia zwierzynie i obfitości paszy w lecie.

Drapieżce nasze, ryś, wilk, lis, kuń, leśna mają wspaniałe, gęste futra, o jakich na Zachodzie nie można myśleć. Coprawda, obecność tych drapieżników ogranicza rozmnożenie zwierzyny drobnej, lecz same one stanowią przedmiot emocjonujących łowów, bardzo modnych obecnie. Zresztą mamy guszcza i jarząbka, ciekawe, tajemnicze ptaki nocy i gąszczów, doskonale przystosowane do naszego klimatu, absolutnie obchodzące się bez dokarmiania w zimie, a wymagające tylko ciszy w ostepach i ochrony. Należałoby popracować nad zwiększeniem ilości tych ptaków, co jest zupełnie możliwe. Nie wspominam o cietrzewiu, obfitym jeszcze u nas tu i ówdzie, lecz skazanym na zagładę wobec dążenia do kasowania nieuczynków i hodowania na nich

ciem. Mobilizowało się wszystkich furmanów, gajowych i parobków, którzy szerokim kołem otaczali pastwisko i, zwięzając stopniowo koło, zbliżali się do osła. A ileż razy zdarzało się, że osioł wolnym krokiem, udając obojętnego — niby nigdy nie jeno zerkając w stronę przesładowców — wynikał się przed zamknięciem koła. Owo „łapanie osła“ trwało nieraz godzinami i było dla nas pierwszorzędną frajdą. — Tenże osioł, dość potulny i grzeczny w zaprzęgu, nie znośił na sobie ciężaru człowieka. Nikt, nie wyłaczając ludzi dorosłych i przytem dobrych jeźdźców nie usiadł na jego karku dłużej niż pół minuty. Próby najlepszych kawalerzystów kończyły się zawsze jednakowo. Odważny jeździec leżał na ziemi, a osioł spokojnie skubał trawę... Osioł ów zginął marnie: oddał się jesienią od pastwiska i wilki go zagryzły. Pamięć o tym osle, jako o zwierzęciu wyjątkowo mądrym i pełnym poczucia godności własnej zachowam do śmierci.

M. K. Pawlikowski.

wysokopiennych lasów, lub też zamiar ich na użytki rolne.

Do poczynienia wysiłków w celu podniesienia naszych zwierzostanów i hodowli zwierzyny są powołani przede wszystkim właściciele ziemscy posiadający lasy. Ponieważ od szeregu lat z zamiłowaniem hoduję zwierzynę — chcę więc rzucić trochę myśli dotyczących powyższej kwestji i podzielić się z czytelnikami „Dodatku łowieckiego“ do Słowa, zwłaszcza zamieszkującymi Wileńszczyznę, rezultatami moich zabiegów i doświadczeń. Rozpatrzę kolejno te gatunki zwierząt i ptaków łownych, wymagających opieki i dokarmiania zimą, z którymi miałem do czynienia, posiadając je w swoich rewiach.

Przed światową wojną jeszcze postanowiłem rozmnożyć **zajęce**. Do tego celu dążyłem dwiema drogami: sprowadzaniem samiec i karmieniem zimowem. Kupowałem więc samice zajęce w Krośniewicach. Wraz z transportem kosztowały mi 6 rubli sztuka. Sprowadzałem naraz ilości niewielkie i rezultat był bardzo dodatni: ilość zajęcy się zwiększyła dużo zajęcy było o charakterystycznym żółtawym zabarwieniu turzycy na spodzie ciała, co zdradzało mieszańców z importami, kiedy miejsce we mają turzycę, zwłaszcza w zimie, o odcieniu białawym i siwym. Pewną trudność przy sprowadzaniu samiec zajęczych w naszych warunkach stanowi to że w czasie, kiedy je łapią w takich Krośniewicach t.j. w styczniu i lutym, nie można ich jeszcze wypuścić na swobodę. Trzeba więc co najmniej do marca, a lepiej do zejścia śniegu, przetrzymać w jakiej izbie, co nie zawsze wychodzi im na zdrowie. Mój powojenny zakup samiec w Krośniewicach był już mniej udany, gdyż w czasie przetrzymywania do wiosny w izbie połowa zginęła, reszta zaś, chociaż doczekała się wiosny i swobody jednak, miała wrazenie, że zdrową nie była i rezultaty w sensie zwiększenia zwierzostanu były małe, znacznie gorsze niż przed wojną, co muszę przypisać słabej zdrowotności wypuszczonych sztuk. Karmię zajęce w zimie przeważnie koniczyną. Twierdzą, że nie jest to racjonalne, lecz nigdy ujemnych stron takiego żywienia nie spostrzegłem. Znani hodowcy: hr. S. Sylva - Tarouca, Sztolcmana, a ostatnio Moczarski w swem wspaniałym dziele „Hodowla zwierząt“ uważają, że sucha pasza w zimie — to trucizna dla zwierzyny. Hr. Tarouca kładzie specjalny nacisk na żywienie burakami. Szanuję autorytety, lecz jestem ciekaw, skąd

Tukaniada

Otrzymał list tej treści:

Acz nie jestem myśliwym, jednak zainteresowała mnie sprawa tukana, upolowanego rzekomo pod Wilem. Dokoła tej sprawy powstała polemika, umieszczana w „Trąbkach myśliwskich“ (vide numery za sierpień, wrzesień, październik r.b.). „Tukaniada“ posiada już swoją literaturę, temniemniej sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta.

Czy istotnie tukan został upolowany pod Wilem? Tylko oczywiście co do tego momentu może być przy dobrej chęci dyskusja, bo inna część tej sprawy, mianowicie kwestja należenia tukana do „rzadkich ptaków Wileńszczyzny“ nie istnieje, a mogło powstać jedynie na skutek nietortunnego zredagowania przez p. L. Pac - Pomarnackiego odpowiedniego ustępu artykułu „Rzadkie ptaki Wileńszczyzny“ (numer sierpniowy r.b. „Trąbek myśliwskich“).

Nikt przecież nie będzie uważał tukana za ptaka tubylczego, nawet najzacieklejsi regionaliści nie poważyliby się na taką „aneksję“. Murzyn Siki, który się popisywał u nas jako atleta na arenie cyrkowej nie może być, jak mniemam, zaliczony do przedstawicieli (choćby najrzadszych) ludności tutejszej, tak również małpa hodowana nieraz u nas w niektórych domach (znam osobę która posiadała prawdziwą małpę) nie może być zaliczona do „rzadkich zwierząt Wileńszczyzny“.

Wprowadzie takich egzotyków jak „małpy“, „słonie“ posiadamy poddostatkiem, ale te zaaklimatyzowały się u nas od czasów nie pamiętnych i oczywiście są autochtonami, a „jako nie „rzadkie“ nie byłyby wspomniane w piśmie łowieckim, nie o nich więc mowa.

Owem pozostaje tylko kwestja, czy ów tukan został zabity pod Wilem, czy też może ... w Paragwaju?

Myślę, że nieco światła mógłby na to rzucić p. Łódziński, który był posiadaczem wypchanego tukana. Możeby Szanowna Redakcja „Trąbek Myśliwskich“ podjęła się trudnego odszukania p. Łódzińskiego i gwoździ wyjaśnienia tej kosztownej sprawy zechciała zwrócić się do niego z zapytaniem, czy otrzymał tukana (i od kogo mianowicie) świeżo upolowanego, czy może już... wypchanego. Trzeba bowiem wszystko zrobić, aby nie dopuścić do zbiorowego wystąpienia rozdrażnionego nieświadomością tłumy nemrodów, ich sympatyków i antypatyków, do możliwych manifestacji podziału na stronnictwa (np. tukaniści i antytukaniści) zając, starc, słowem poważnego zakłócenia spokoju publicznego.

Szymon Kozak.

dostaje soczystą paszę w zimie zając będący w stanie natury, a więc niedokarmiany? Jedynym źródłem niezupełnie suchej paszy w zimie — to kora drzewna, która przecież zawsze jest do dyspozycji i karmionej sztucznie zwierzyny. Buraków u mnie zające nie tknęły. Koniczynę wolą szwedzką, niż czerwoną, prawdopodobnie ponieważ jest delikatniejsza. Natomiast tymotką wyraźnie gardzą, pozostawiając ją nieotkniętą, jeżeli jest w mieszaninie z koniczyną. To samo dotyczy saren.

Jan Borowski.



Z Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego

Dnia 5. 11. 1929 r. odbyło się kolejne posiedzenie Zarządu Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego.

Obecni byli p.p. prezes — Bolesław Świętorzecki, Józef Łastowski, Roman Ruciński i Wincenty Łuczyński.

Po załatwieniu szeregu spraw drobnych uchwalono:

Sprawę rozszerzenia działalności T. w na sąsiednie województwa rozważyć po uprzednim zasięgnięciu opinii miejscowych kół myśliwskich i w tym celu prosić Pana Pawlikowskiego o skomunikowanie się z wymienionymi wyżej kołami.

Pozatem postanowiono asygnować nagrody pieniężne:

1) posterunkowemu P.P. w Rudziszku pow. Wileńsko - Trockiego Michałowi Sienkowi za przyzwyczajenie się do wykrycia kłusowników ze wsi Mamowo: J. Grabowski go J. Mickiewicza i L. Dzienowa gisa, którzy zabili dn. 2. 9. 1929 r. łosia w Puszczy Rudnickiej — zł. 50.

2) gajowemu lasów państwowych W. Olkiewiczowi Janowi Wąsowiczowi za gorliwe tepienie kłusownictwa i odebranie nielegalnie posiadanej broni — zł. 50.

3) posterunkowemu P.P. w Rzeszy pow. Wileń Wojciechowi Szewczykowi za kilkakrotne odebranie nielegalnie posiadanej broni myśliwskiej — zł. 30.

4) st. posterunkowemu P.P. Stanisławowi Bańkowskiemu pow. Święciańskiego za ujawnienie znanego wnykarza J. Dzięgielewskiego na terenie gm. Lintupskiej — zł. 25.

Na zakończenie postanowiono zwrócić się do p. wojewody z prośbą o zarządzenie i pouczenie podwładnych Mu organów P.P. o obowiązujących przepisach ustawy łowieckiej w przedmiocie handlu zwierzyną na rynkach wileńskich w ciągu października i pierwszych dni listopada (zajęcie).

—XOX—

DO P.P. CZYTELNIKÓW DODATKU ŁOWIECKIEGO.

P.P. Czytelnicy, którzy są przypadkowo w posiadaniu zbędnych numerów dodatku łowieckiego, zwłaszcza z lat 1926 i 1927, proszeni są uprzejmie o odstąpienie tych numerów (ewent. za opłatą, jaką sami wskażą) redakcji dodatku łowieckiego. Łaskawe oferty prosimy składać pod adresem: Wilno, Urząd Wojewódzki. M. Pawlikowski.



W Polsce nie będzie tir-aux pigeonnów

Ministerjum Spraw Wewnętrznych rozesało do wszystkich Województw okólnik oświadczający, że uprawianie sportu strzelania do żywych gołębi (tir-aux pigeonnów) jest przestępstwem przewidzianem w ustawie z r. 1928 o ochronie zwierząt. Ministerjum zaleciło przytem, by władze miejscowe bezwzględnie nie dopuszczały ani do urządzania stałych strzelnic, ani zawodów sportowych strzelania do gołębi, ani zabaw tego rodzaju. Winni używania żywych zwierząt zamiast sztucznego modelu do strzelania sportowego będą pociągani do odpowiedzialności sądowej.

Kronika myśliwska.
Dn. 20 października rb. filja Smorgońska Wileńskiego T. w Myśliwskiego urządziła obławę na wilki w lasach p. Kiersnowskiej — obok lasów państwowych. Obławę kierowali pp. nadleśniczy Kubak i leśniczy Brzezicki. Prócz funkcjonariuszów Nadleśnictwa Smorgońskiego w polowaniu brali udział pp. prof. Hlasko, dr. Potapowicz, inż. Kielczewski, Pilecki, Korzon i in. Zabito w 2-ch miotach 6 wilków.

SZ. P.P. AUTOROWIE, NADSYLAJĄCY SWE PRACE DLA DODATKU ŁOWIECKIEGO PROSZENI SĄ O PISANIE ARTYKUŁÓW NA JEDNEJ STRONIE ARKUSZA I CZYTELNICIE.

Dn. 24 listopada rb. w Szumsku u p. Strumila odbyło się polowanie na zające. Polowano w 4 strzelby. Zabito 3 zające i 1 ja rzabka. Widziano ogółem około 20 zajęcy, których stan w porównaniu z rokiem ubiegłym wybitnie się poprawił.

WILENSZCZYZNA MA PRZESZŁO 2000 POSIADACZY KART ŁOWIECKICH T. J. PRZESZŁO 2000 OFICJALNYCH MYŚLIWYCH. GDYBY PRZYNAJMNIEJ POŁOWA TYCH MYŚLIWYCH ZAPISAŁA SIĘ DO IDEOWO-BEZTERENOWEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO, TO BUDŻET TEGO T-WA WYNOŚYŁBY SUMĘ 12000 ZŁOTYCH. SUMA TAKA POZWOLIŁABY T-WU NA ROZWINIĘCIE SZEROKIEJ AKCJI KULTURALNO-ŁOWIECKIEJ.

Czarna lista łowiecka

W jednym z poprzednich dodatków łowieckich zapowiedzieliśmy, że będziemy publikować nazwy jadalnej wileńskich, w których — wbrew ustawie i z wielką szkodą dla łowiectwa — podawana jest zwierzyzna w czasie ochronnym. Obecnie realizujemy tę zapowiedź:

* * *

Dn. 13 listopada rb. w restauracji „Bristol“ (Mickiewicza 22) podano na kolację g. łuszcza. Jak wiadomo polowanie na g. łuszcza trwa tylko 2 miesiące (od 16. 3. do 15. 5), to też zarówno zabicie g. łuszcza jesienią, jak i podanie go w jadłodajni w tej porze roku świadczy o horrendalnym ignorowaniu przepisów łowieckich. Odpowiednie doniesienie karne zostało przesłane do Starostwa Grodzkiego.

* * *

Doniesiono nam, że w pewnej instytucji wileńskiej, której sama nazwa zdawałaby się świadczyć o przywiązaniu jej członków do tradycji szlachetnego łowiectwa i o poszanowaniu przez nich przepisów wydanych w celu jego ochrony, zdarzył się taki przypadek. W dniu 15 listopada rb. bufet tej instytucji, podawał na kolację nie tylko zając, lecz i kuropatwę. Na zwróconą uwagę przez jednego z gości, że fakt taki stanowi przestępstwo łowieckie, gospodarz instytucji odburknął:

— Lepiej niech ktoś zje tego zająca, niż ma zgnieć...

Niestety informator nasz zobowiązał nas do zachowania dyskrekcji co do nazwy instytucji. Nie mniej jednak możemy zapewnić Sz. Gospodarza: 1) że zając niekoniecznie musiał zgnieć, gdyż w myśl art. 80 prawa łowieckiego uległby konfiskacie na rzecz zakładów dobroczynnych, 2) że przy najbliższym ponownym pogwałceniu prawa łowieckiego przez instytucję, której jest gospodarzem dyskrekcja — zarówno na łamach dodatku jak i w sto sunku do Starostwa Grodzkiego — przestanie nas obowiązywać.



PANI I ŁOWIECTWO

Nie zazdroszczę laurów autorowi wspaniałej książki „Polująca Pani”. Mój feljeton ma inne cele na oku. Chcę w niewielu wyrazach, nie przekraczając ciasnych ram skromnego odcinka, sięgnąć do samego jądra pięknego zagadnienia: jaki jest stosunek pięknej pani (pani nie może być nie piękna) do łowiectwa w ogóle?

Rozróżniamy (używam liczby mnogiej, bo to brzmi bardziej naukowo, a więc i poważniej) rozróżniamy trzy odcięcia tego stosunku: obojętny, wrogi i agresywny.

* * *

Piękna pani usposobiona dla łowiectwa obojętnie, jeżeli jest mężatka, mówi do męża:

— Wyjeżdżasz na dwa dni na polowanie? Doskonale się składa. Wybierz się ze mną od roku do Władców i nie możesz się wybrać. Skorzystam z twojej nieobecności i pójdę sama. Właśnie Władcowa telefonowała do mnie. Pójdę z nimi do Reduty, a potem do Georges'a. Będzie pan Henio...

Pan zaspiera się. Widzi od roku, że żona „ma się” do p. Henia, a on do niej. Pan jest mądry, więc wie, że choć z łosem walczyć niepodobna, to jednak

nie trzeba mu dopomagać. Po chwili telefonuje więc do przyjaciela myśliwego:

— Niestety, nie mogę jechać z wami. Wypadła mi taka jedna konferencja. Właściwie nie konferencja, lecz posiedzenie Komitetu... Jakiego Komitetu? Mniejsza z tem jakiego. Dość, że nie jadę z wami... A niech to wszyscy diabli!

Piękna pani usposobiona obojętnie do łowiectwa, jeżeli nie jest mężatka (nie precyzuję bliżej jej „stanu cywilnego”, lub wojskowego), tak mówi do pana:

— Ach, tak? Jedzie pan na polowanie... Dobrze, dobrze...

— Ależ moja droga...

— Przedewszystkiem, nie piliśmy bruderszaftu. Po drugie — tak ładnie planowałam sobie, gdzie pójdziemy, co będziemy robili te dwa dni... Dobrze, dobrze, niech pan jedzie...

— Ależ...

— Niech pan nie mówi! Na wiośnię nie jeździł pan na żadne polewanie i miał pan codziennie czas dla mnie, a dzisiaj...

— Ależ...

— Wiem co pan chce powiedzieć. Ze poznaliśmy się w maju i że w maju jest czas ochronny. Szkoda, że nie wyśmiono dotąd czasu ochronnego na

takie głupie gęsi jak ja (kobiety bywają przeraźliwie szczere)... Na szczęście teraz porozumiałam (kobiety są jednak zazwyczaj obłudne)...

Pan słucha cierpliwie i — wyjeżdża na polowanie. Bo pan jest mądry i wie, że to tylko żonaci nie mogą pozwać sobie na zbytek igrania z łosem.

* * *

— Pani wroga dla łowiectwa peroruje:

— Nie rozumiem jaką wy macie przyjemność w mordowaniu żywych stworzeń. I co to za perfidia z waszej strony mówić o ochronie przyrody, o ideowym łowiectwie... Jaka może być idea w zabawie, którą już Oskar Wilde nazwał „krwiożerczą rozrywką”?!..

Takiej pani nie odpowiadam nic, lecz wręczam jej w milczeniu odezwę propagandową Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego. A w duchu tłumię głuchą złość, gdyż wiem dokładnie, że baba własnoręcznie kupowała na rynku kuropatwy w grudniu.

* * *

Najrozkoszniejszym zjawiskiem jest pani usposobiona do łowiectwa agresywnie. Takiej pani mąż przed polowaniem daje krótki wykład techniki strzelania:

Pamiętaj Kamo, że jeżeli zając będzie iść na sztych, to mu celuj w nóżki. Jeżeli będzie biec od ciebie, to celuj między uszy. Jeżeli będzie przechodzić bokiem, to zakładaj przed nim o metr.

— Co to znaczy „zakładaj”?

— Zaraz ci wytłumaczę. Teraz słuchaj dalej: Nie wolno strzelać do miotu, bo można trafić w naganiacza. Nie wolno strzelać wzdłuż linii, bo można trafić w myśliwego. Nie wolno...

— Więc w jaką stronę mam strzelać?!

— Najlepiej nie strzelaj zupełnie.

Panie usposobione do łowiectwa agresywnie są na polowaniu przemile, bo wnoszą pewne urozmaicenie w surową szarżę naszych łowów. Nudną ciszę wyczekiwania na stanowiskach przerywają dzwiczne „hop — hop” nawołujących się sopranów. W przerwie między miotami pan — myśliwy ma chwile silnych wzruszeń widząc skierowane ku sobie lufy nierozładowanych dubeltówek. A najsilniejsze, niezapomniane wzruszenie ogarnia myśliwego, gdy postłyszysz takie zapytanie adeptki łowiectwa:

— Czy pan ma przecucie, że pan złapie zająca?...

Michał K. Pawlikowski.

—XOX—

Łowiecka skrzynka pocztowa

W „łowieckiej skrzynce pocztowej“ do datku łowieckiego umieszczane są odpowiedzi redakcji **we wszystkich sprawach dotyczących łowiectwa**, w szczególności zaś odpowiedzi na zapytanie p.p. myśliwych w sprawach wykładni i praktycznego stosowania poszczególnych przepisów prawa łowieckiego oraz najważniejsze wiadomości z prawodawstwa łowieckiego. Zapytania należy kierować listownie pod adresem: Wilno, Urząd Wojewódzki, M. Pawlikowski. Odczyty nadsyłające znaczki pocztowe na odpowiedź otrzymają odpowiedzi listowne niezależnie od ich umieszczenia w „skrzynce pocztowej“.

Panu Karolowi Korkozowiczowi w Worpajewie.

1) Zarówno w sprawach karno-łowieckich jak i w ogóle w sprawach karno-administracyjnych starosta, w myśl art. 19 rozp. Prezydenta R.P. z dn. 22. III. 1928 r. o postępowaniu karno-administracyjnym (dz. ust. z r. 1928 ipoz. 365), wyznaczając rozprawę karną zawsze wzywa obwinionego. Obowiązek osobistego stawiennictwa jest wyjątkiem: zazwyczaj starosta albo żąda od obwinionego nadesłania w określonym terminie piśmiennego wyjaśnienia, albo zarządza przesłuchanie go przez organ równorzędny lub niższy. Obwiniony musi zawsze dostać wezwanie i w wezwaniu tem musi być zaznaczone, że jeżeli się nie stawia, to rozprawa odbędzie się w jego nieobecności, względnie że zamiast stawienia się może nadesłać pisemne wyjaśnienie. Jednak w wypadkach, gdy starosta uznaje za stosowne wymierzyć karę nie większą niż 3 dni aresztu i 50 zł. grzywny, wówczas **nie wyznaczając rozprawy**, wydaje t. zw. **nakaz karny**. Nakaz powinien być obwinionemu doręczony w ciągu 7 dni od daty doręczenia można wnieść sprzeciw, żądając rozprawy i wówczas postępuje się tak, jak gdyby nakazu nie było w ogóle. Jeśli sprzeciwu nie wniesiono — nakaz staje się prawomocny i karę można wykonać.

2) W wezwaniu obwinionego na rozprawę należy mu polecić, by sprowadził na rozprawę świadków i inne dowody służące do jego obrony, lub też — by wskazał je włączy pisemnie lub ustnie i to w takim czasie, by władza zdążyła użyć je na rozprawie. Wby władza zaniedbała tego obowiązku i kwestję tę pominęła w wezwaniu milczeniem, wtedy obwiniony ma prawo żądać odroczenia rozprawy. W przeciwnym razie władze według swego uznania orzekają, czy wydać orzeczenie bez badania tych świadków, czy rozprawę odroczyć.

3) Wszelkie zarzuty zarówno merytoryczne jak i formalne przeciwko orzeczeniu karnemu starosty, a więc i zarzuty np. nie-

wezwanie obwinionego na rozprawę, niezbadanie świadków i t.p. mogą być wytłuszczone w podaniu do Sądu Okręgowego w którym się żąda przekazania sprawy na drogę sądową (art. 618 i następne nowego kodeksu postępowania karnego). Podanie to należy złożyć **za pośrednictwem Starostwa** w przeciągu 7 dni od daty doręczenia (lub ogłoszenia) orzeczenia karnego Starosty. Jeżeli Starosta odmawia przyjęcia tego żądania, to skargę w tym względzie można złożyć wprost do Sądu w przeciągu 3 dni od daty zawiadomienia o odmowie.

4) Art. 52 prawa łowieckiego, stanowiący że wojewoda ogłasza odroczenie w grudniu w dzienniku wojewódzkim wykaz czasów ochronnych na rok następny, jest przepisem porządkowym wydanym dla ułatwienia władzom i ludności orjentowania się w terminach ochronnych. Takie „ogłoszenie“ nie może być źródłem prawa, nawet lokalnego.

Wojewoda wydaje takie ogłoszenia co roku, chociażby nawet terminy ochronne nie uległy żadnej zmianie. Źródłem prawa lokalnego zmieniającego normalne czasy ochronne a obowiązującego całą ludność województwa, są tylko „**rozporządzenia**“ wojewody wydane na mocy art. 51 prawa łowieckiego oraz na mocy rozporządzenia Min. Rolnictwa, który przelał na wojewodów część swych uprawnień wynikających z tego artykułu. Takie rozporządzenie (nie „ogłoszenie“!) należy ogłosić w dzienniku wojewódzkim uzyskuje moc obowiązującą w czasie oznaczonym w tem rozporządzeniu i — „na oznaczony w niem okres czasu“ (ustęp drugi art. 51). Właśnie takim rozporządzeniem jest Rozporządzenie p. wojewody wileńskiego z dn. 8. 7. 1929 r. o rozszerzeniu czasu ochronnego na zające. W myśl par. 3 tego rozp. weszło ono w życie w dniu 1 października r.b. Gdyby nawet np. przez niedopatrznie zmiany wprowadzone przez te rozporządzenie nie zostały powtórzone w „ogłoszeniu“ grudniowym, nie mniej jednak rozporządzenie to, jako wydane i ogłoszone należy, obowiązuje bezwzględnie.

Pani W. F.

Gajowy mający pozwolenie na strzelbę bez karty łowieckiej posiada ją „bez prawa polowania“ — wyłącznie dla samoobrony. Ponieważ zaś według naszego prawa łowieckiego polowaniem jest strzelanie do wszelkich zwierząt, nie wyłączając wilków i in. drapieżników, tedy dość należy do wniosku, że **gajowy nie posiadający karty łowieckiej**



nie ma prawa strzelać do wilka napotkanego w rewirze, chyba że ów wilk go zaatakuje, co zresztą, jak my tutaj na Wschodzie dobrze wiemy, jest zupełnie nieprawdopodobne. Jedną z zasad naczelnych prawa naszego jest postanowienie, że nikt nie ma prawa polować bez karty łowieckiej. Wyjątek stanowi art. 50 prawa łowieckiego postanawiający, że każdy na własnym gruncie **lecz w obrębie swej zagrody oraz w promieniu 100 metrów od zabudowań** może zabijać i chwycić wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, groństaje, lasice, króliki, gołębiarze, krogulce, sroki i wrony.

Nawiasem mówiąc posiadanie pozwoleń na broń myśliwską „bez prawa polowania“ jest

już obecnie — wobec nowego prawa łowieckiego anachronizmem i władze nasze dążą stopniowo do wycofania tego rodzaju pozwoleń. Na przyszłość gajowi mogą być uzbrojeni albo w rewolwery, albo na życzenie właścicieli terenów, w dubeltówki, lecz w tym ostatnim wypadku będą musieli uzyskać również karty łowieckie — na zasadach ogólnych.

M. P.

DIK

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

(ciąg dalszy)

Polowałem z Pilchowskim na kaczki z na ganką. Na Kojłowskim jeziorze, brzegi którego miejscami silnie zarosły sitowiem, jeden z nas stał na brzegu, gdzie trawa była rzadsza, a drugi zdaleka siedł powoli brzegiem, zlekka gwizdząc i zatrzymując się co parę kroków. Kaczki, lotne nawet, nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, nie zrywały się, lecz płynęły sitowiem, oddalając się od idącego a trafiając pod strzały myśliwego. Ofiarą najczęściej padały słabe jeszcze do lotu linki — kaczory, dobrze zaś lotne kaczki naturalnie zrywały się.

W jesieni czatowałem na kaczki, przelatujące z wielkich jezior na żer. Lot bywał słaby, gdyż małych bagienek z dobrym pożywieniem było naokół dużo, a więc leciały kaczki rozmaitemi drogami. Polując w polu, zawsze ostrożnie podchodziłem do bagienka, wiedząc dobrze, że mogę w niem znaleźć krzyżówkę. Kaczki rozsyłałem znajomym, a zdarzało się nawet, że odwoziłem znajomym już upieczone, bo ordynans uskarżał się, że nie mogą wszak one czekać na mnie całymi dniami. Gdy nadeszła wiosna, lubiłem wieczorem błąkać się nad jeziorami. Zdarzało się czasem spuścić na ziemię wysoko lecącego kaczora, co było szczytem przyjemności, że względu na panujący zmrok i ostrożność ptaka. Bardzo rzadko spotykałem na bagnach bekasy i nigdy nie nauczyłem się do nich strzelać; wprawdzie zabijałem czasem, lecz było to „fuksy“. Nigdy też nie strzelałem do podrzucanych czapek i butelek, jak to lubią robić myśliwi. Słonek nie widziałem wcale, albowiem lasy były suche i bagien, albo łąk

mokrych w nich nie było. Zabilem tylko 3 du belty i nigdy, tak zwanej „wysypki“ nie widziałem. Głuszców i cietrzewi w lasach nie było.

Wieczorem pewnego dnia otrzymałem powiadomienie, że przez pierwszą linię na drugi dzień przejdzie generał lejtenant, dowódca Korpusu Straży Pogranicznej. A był on dla nas czymś w rodzaju pół boga. Dawno oczekiwaliśmy jego przyjazdu; czyścili konie, szorowali, myli, bieliłi — każdy oficer chciał swe posterunki przedstawić jaknajlepiej. Od swego sąsiada, oficera pierwszej linii otrzymałem kartkę, prosił o przysłanie mu coś ze zwierzyny, a ponieważ w domu miałem 2 krzyżówki, 2 cyraneczki i bekasa, posłałem mu to, wiedząc dobrze jak trudno na wsi dostać kawałek mięsa i jak są lasi dygnitarze petersburscy na zwierzynę. Sam zaś wybrałem się rano na polowanie pod posterunek I szej linii Wersle. Wylazłem właśnie z bagna i rozłożyłem się w krzakach przy drodze, po której powinien był przejeżdżać generał. Zdjąłem buty w celu wysuszenia onych (nigdy na polowanie nie używałem skarpetek, które nacierają nogę i nie wytrzymują długiego chodzenia), zdjąłem też bluzę i leżąc na trawie w cieniu krzaku, przegryzałem z Turcem w najlepsze. Aż słyszę tetent... W końcu przesunął się powóz z generałem i pułkownikiem, dowódcą naszej brygady.

Nie mogę opisać uczucia, które mnie wówczas ogarnęło, oto leżę sobie rozciągnięty pod krzakiem, czuję się panem, przy mnie mój ukochany Tur, konsumujemy ze smakiem śniadanie i nie znam w tej chwili i nie chcę wiedzieć o żadnym generale, o żadnej lustracji...

Na Wiżajńskim jeziorze gnieździły się nury (mergus albellus). Przy pływaniu nur pograża się zupełnie w wodę, wystawiając

nad nią, jeno głowę i zabić nurka niełatwo. Kilka razy z łodzi strzelałem do nich i parę sztuk udało mi się zabić. Smak ich mięsa gorszy od kaczki zwyczajnej; skropione octem i zakopane w ziemię na dobę stają się smaczniejsze.

Mrozy w r. 1898 były większe pozamarały rzeki i jeziora, mieliśmy jaką taką sanę i jednego pogodnego dnia wybrałem się sankami do Kojł. Przyjeżdżam. Zastaję kilku sąsiadów. Omawiamy sprawy de publicis, potem rozmowa przeszła na tory codzienne. Dowiaduję się, że Grabowski chce sprzedać parę koni, z których klacz była swojej hodowli, a koń nabyty niedawno z licyfacji w 6 pułku dragonów Pawłogradzkich. Na próbę zaproponowałem zaprząć konie do moich sanek — miałem zamiar odwiedzić posterunek Wróbel, odległy od Kojł o 6 klm. Grabowski chętnie się zgodził z tem jednak, abym długo tam nie bawił i wracał do Kojł na obiad, po którym mieliśmy grać w winta. Sanna była marna. Płozy zgrzytały zawadzając o kamienie, których było w pobliżu Wróbli coniemiarra. Dróżka polowa zbliżyła się do jeziora Hańczańskiego było ono zamaznięte i zlekka przyprószone śniegiem. Jadąc przez jezioro skracałem drogę o parę kilometrów, nie mówiąc już o tem, że droga po lodzie była wysmienita. „Maksimenko“, pytam żołnierza, — wyrzucimy wprost jeziorem, a? — Tak toż, — odpowiada, — będzie znacznie bliżej. A muszę nadmienić, że jezioro Hańczańskie, jak mnie opowiadali, nigdy całe nie zamarało; były w niem miejsca, które w wielkie mrozy pokrywały się cienką warstwą lodu, a i ten długo nie trzymał snów były tam jakieś źródła, nie pozwalające na całkowite zamaznięcie. O tem zapominałem i kazalem Maksimence skrócić na lód. Konie, ostro kute na wszystkie cztery, biegły wyciągniętym

klusom i brzeg jeziora, do którego zdążyłem był nie dalej kilometra. Nagle rozległ się huk, podobny do uderzenia piorunu, a odgłosy jego poszły po całym jeziorze. Zrozumiałem, że pod naszym ciężarem lód poczęł pękać. Nie skończyło się na tem, bo złowrogi trzask powtarzał się ciągle i była obawa, że lada chwila lód rozstąpi się pod nogami i czeka nas co najmniej kąpiel lodowa. Zmniejszy bieg koni byłoby ryzykowne, kazalem więc Maksimence w razie gdyby konie zapadły, momentalnie wyskoczyć z sanek, starając się jak można dalej odsunąć się od nich, właściwie powiedziałem nie wyskoczyć, lecz „wyrzucić się“ i to w taki sposób, aby upaść na lód całym ciałem i leżąc prześlizgnąć się po jego powierzchni. Ja i Maksimienko oparliśmy nogę o brzeg sanek i byliśmy przygotowani do „wyrzucenia się“. Na brzegu jeziora stała kupka ludzi: rozróżniałem swoich żołnierzy, którzy biegali po brzegu, a niektórzy z nich z sznurami w ręku stali na lodzie i wskazywali bezpieczniejszy kierunek jazdy. Skreśliłmy przeto w wskazaną stronę, a huk trzaskającego lodu wciąż towarzyszył sprawiając piekielną muzykę. W miejscach niepokrytych śniegiem, widziałem pęknięcia na lodzie... Lada chwila mogła nastąpić katastrofa. Ale zbawienny brzeg był już blisko, jeszcze chwila i byliśmy na brzegu. Włóscanie z pobliskich chat nie mogli się nadszwić naszej odwadze: mówili, że nikt z nich nigdy lodem nie jeździł, bo słabo zamazniętych miejsc bywa sporo i łatwo utonąć. Ludziska nie wiedzieli, że nie odwaga była przyczyną naszej jazdy, lecz nierozważność młodzieńcza. Gdy weszliśmy do mieszkania, Maksimienko podszedł do ikony, padł na kolana i modlił się, ja też gorąco westchnąłem do Boga, dziękując za Jego łaskę.

Stefan Tuhan - Baranowski.